

Xawery Stańczyk

## KONTRKULTURA

### Fuck'89

Kontrkultura może wydawać się czymś przynależnym do przeszłości: lat 60. XX wieku, czasów hipisowskich komun, rewolucji seksualnej, protestów antywojennych, teatrów guerilla, psychodelików, autostopu, rock 'n' rolla, Czarnych Panter, Students for a Democratic Society, Ery Wodnika i dźwięków sitaru. Te popularne klisze nie bez powodu kojarzą się z historycznie ukształtowaną formacją kontrkulturową. Ale kontrkulturę można też ująć inaczej, operacyjnie. W takim rozumieniu kontrkulturą jest to, co występuje przeciwko kulturze dominującej. W polskiej humanistyce kontrkultury tak jeszcze nie definiowano, trzymając się raczej jej historycznych wyznaczników: idei, wartości, etosu. Pora na zmianę.

Pięćdziesiąta rocznica wydarzeń francuskiego maja 1968 roku pociągnęła za sobą w kręgach akademickich i artystycznych powrót tematu kontrkultury. Odbyło się parę konferencji naukowych i dyskusji, wydano kilka książek; przypomniano hasła, idee, postacie. Śledziłem te zdarzenia z poczuciem, że sprowadzić je można albo do rytualnych pogadarek intelektualistów, albo do odświeżania starych legend i tworzenia nowych, albo do jazdy na jałowym biegu retromanii, w poszukiwaniu tego, co kiedyś było odkrywcze, wywrotowe, społecznie skuteczne. Sięganie po dziedzictwo tamtej, historycznej kontrkultury uznałem za intelektualnie nic niewnoszące – zwłaszcza w przypadku Polski, gdzie mówić można raczej o kulturze alternatywnej, a więc kulturze będącej obok, równoległe, a niekoniecznie w kontrze, do tego przesuniętej w czasie o dobrą dekadę: na późne lata siedemdziesiąte i całe osiemdziesiąte. To wszystko powinno pozostać tam, gdzie już częściowo trafiło, a stopniowo będzie trafiać dalej: w muzealnych gablotach i archiwalnych teczkach, na półkach bibliotek i biurkach badaczy. Próby wskrzeszania trupa sytuacjonizmu i innych radykalnych języków i ruchów społecznych o charakterze kontestacyjnym budziły we mnie raczej zażenowanie niż nadzieję. Przypomniałem sobie słowa manifestu *Fuck'89*, sformułowanego w 2014 roku przez warszawskie środowiska wolnościowe przy okazji wydarzenia o tej samej nazwie:

Pieprzyć rzeczywistość społeczno-polityczną, która po '89 roku okazała się jedną wielką klęską i przyniosła, zamiast świata wolnego i przyjaznego, świat wojen, wyzysku i niesprawiedliwości. Upadek komunizmu, zniesienie żelaznej kurtyny, symboliczne zburzenie muru berlińskiego i idea wolnej, wspólnej Europy utonęły w kapitalistycznym, popkulturowym szambie. Dlatego pieprzyć cezurę 89 roku i pieprzyć fetyszowanie ówczesnej działalności wszelkich grup anarchistycznych i kontrkulturowych! Zawiodły one, dając się zepchnąć na margines przez neoliberalne, nacjonalistyczne i ultrapravicowe ugrupowania i partie polityczne lub dając zrobić z siebie medialne błazny na sprzedaż. Nie ma innego wyjścia, jak na „czystej karcie” początków XXI wieku zacząć tworzyć nową wolnościową historię.

Centralnym punktem *Fuck'89* była wystawa dotycząca ruchu anarchistycznego w Warszawie przełomu lat 80. i 90. XX wieku. Brałem udział w kilku spotkaniach poprzedzających to wydarzenie, pamiętam tamte dyskusje: działacze wolnościowi, zarówno „kombatanci”, jak i ich znacznie młodszy koledzy, zgodnie uznali, że rzeczy z przeszłości powinny zostać zebrane, opisane, pokazane publiczności, a następnie rytualnie zniszczone – z wyjątkiem najcenniejszych, wartych zachowania jako świadectwa na użytek historyków. Zamiast brązownictwa – jednoznaczne odcięcie się od własnej przeszłości, by pójść dalej, z nową energią kreować nowe taktyki działania i wizje świata adekwatne do obecnej sytuacji. Tak, historyczne grupy anarchistyczne i kontrkulturowe zawiodły – nie ma sensu do nich wracać.

### **Pora na kontrkulturę. Przeciw normatywności**

Jeśli pojęcie kontrkultury ma być dziś do czegokolwiek przydatne, trzeba oderwać je od historycznego sztafażu, aby wydobyć ze schematów, w jakich ugrzęzła działalność kontrkulturowa, to, co w niej witalne, inspirujące i adekwatne do współczesności. Pojęcie kontrkultury może przydać się w praktyce, jeśli odniesione zostanie do obecnej kultury dominującej, a nie do niegdysiejszych ideałów. Taki sens kontrkulturze nadała Elżbieta Janicka w wystąpieniu (również utrzymanym w poetyce manifestu) *O kontrkulturę – tu i teraz* wygłoszonym na Nadzwyczajnym Zjeździe Etnologów i Antropologów Polskich w 2016 roku. Janicka przekonywała:

Obecny eksperyment ustrojowy przypomina rekonstrukcję historyczną lotu do Smoleńska z 10 kwietnia 2010 roku. Dlatego konieczny wydaje się wyraźny sprzeciw wobec szantażu patriotycznego, tożsamościowego, wizerunkowego i wyraźna opcja na rzecz oczywistości społeczno-kulturowej

całkowicie innej niż obecna: liberalno-demokratycznej, egalitarnej, świeckiej i obywatelskiej. Dotychczasowe dwa wdrażane w Polsce warianty modernizacji – modernizacja bez emancypacji i modernizacja przeciw emancypacji – kosztowały już zbyt drogo. Pora na rewizję kultury i odrzucenie jej uświęconych, wykluczających wzorów. Może krucyfiks nie musi wisieć w sali plenarnej Sejmu? I może krzyż nie musi dominować nad polami prochów w Birkenau? Może pora na emancypację, za której sprawą większość dominująca wyemancypuje się od samej siebie, weźmie za siebie odpowiedzialność, zyska poczucie sprawczości i przestanie zagrażać innym oraz przy okazji samej sobie? Kultura polska – w szerokim rozumieniu słowa „kultura” – była dotąd kulturą bez kontrkultury. Być może zatem: na kontrkulturę właśnie pora.

Gdy spotykamy się, by podyskutować o tym postulatcie, literaturoznawczyni i fotografka powtarza swoje zdanie: w Polsce nigdy nie było kontrkultury, która przeciwstawiałaby się kulturze dominującej. W trakcie rozmowy Janicka wraca do decydujących momentów w powojennej historii Polski, podkreślając, że za każdym razem o wiele powszechniejszy okazywał się ryzykowny przecież opór wobec władzy politycznej niż sprzeciw wobec reguł kultury dominującej, z antysemickim kodem polskiej kultury na czele. W „kontrkulturowym” roku 1968 hasłem, pod którym protestowała w Polsce lewicująca młodzież, była „niepodległość bez cenzury”. Sprzeciw wobec cenzury czy niepełnej suwerenności, a więc sprawy *stricte* polityczne, formułowane z perspektywy narodowej, przestąpiły prawdziwą groźbę otwartego przyzwolenia na antysemityzm w Partii i poza nią, prowadzącego do czystek w zakładach pracy i fali uchodźców z PRL. To zdumiewające przedłożenie sprawy narodowej – wraz z całym ryzykiem związanym z konfrontacją z władzą państwową – ponad losem sąsiadów, znajomych, współobywateli szykanowanych ze względu na przypisaną tożsamość żydowską, staje się zrozumiałe dopiero przez pryzmat doksy antykomunistycznej, ustanawiającej priorytet walki z komunizmem. W tym sensie doksa antykomunistyczna odpowiada za to, że kontrkultura w Polsce nigdy na dobrą sprawę nie zaistniała: dostrzeżenie opresyjności kultury (na przykład antysemickiego kodu kulturowego) było niemożliwe, bo horyzont przestąpiły był przez imperatyw oporu politycznego.

Doksa antykomunistyczna nadal obowiązuje, utrzymując społeczeństwo w stanie samouprzedmiotowienia i zagrożenia dla siebie samego: wszelkie działania w interesie społecznym mogą być storpedowane jako przejaw komunizmu. Doksa jest silniejsza niż własne doświadczenie ludzi, którzy opowiadając się za kolejnymi

neoliberalnymi, antyspołecznymi, autorytarnymi zmianami, sami ponoszą w efekcie bolesne straty. Polskie społeczeństwo wymaga defaszyzacji, przypomina Janicka. Jednocześnie autorka *Festung Warschau* wskazuje, że zmiana jest możliwa właściwie w każdej chwili i wylicza kolejne stracone szanse na przeprowadzenie rewolucji kulturalnej, a przynajmniej przesunięcie społecznej dźwigni w kierunku emancypacji, od nadziei radykalnie lewicowej inteligencji na głęboką rewizję kultury po 1945 roku do ufundowania narodowo-katolicko-kapitalistycznej edukacji publicznej za europejskie pieniądze w ostatnich latach.

Na moją uwagę, że obecnie nie ma ani elity politycznej, ani żadnej innej siły, która by narzuciła tę zmianę odgórnie, moja rozmówczyni przywołuje przykład *Pokłosa* Władysława Pasikowskiego, filmu, który – zdawałoby się – nie miał prawa wyjść spod ręki reżysera *Psów* i *Operacji Samum*. A jednak Pasikowski był w stanie wyłożyć – kawa na łąkę – problem polskiego antysemityzmu, sprawnie łącząc rozrzucone w innych dziełach elementy kulturowej układanki, wbrew pozornemu „skomplikowaniu”, o którym często się mówi w kontekście „stosunków polsko-żydowskich”. W tym sensie kontrkultura to po prostu właściwe łączenie tego, co wzory kultury dominującej nakazują widzieć osobno. To krytyka kultury dominującej, która ma sama zająć jej miejsce, ustanawiając paradygmat demokratyczny, obywatelski i świecki zamiast bezkrytycznie przyjmowanych społeczno-kulturowych oczywistości.

Słowa Janickiej współgrają mi z wnioskami z książki Katarzyny Kułakowskiej *Błażnice. Kobiety kontrkultury teatralnej w Polsce*: to, co nazywano w Polsce kontrkulturą, rozpoznane przez pryzmat doświadczenia kobiet uczestniczących w tym ruchu, okazuje się bardziej opresyjne niż kultura dominująca. Kontrkulturowe teatry – od Laboratorium Grotowskiego, przez Gardzienice, Pieśń Kozła, po Akademię Ruchu, Węgajty i Teatr Ósmego Dnia – nie podważały norm patriarchy, lecz umacniały je. I w tym przypadku doksa antykomunistyczna – poczucie konieczności walki z władzą – sprawiała, że sprawy równouprawnienia spychane były na dalszy plan przez same kobiety, które dziwiły się swoim koleżankom z Zachodu walczącym o swoje prawa. Wskutek dominacji mężczyzn, zarówno liczebnej, jak i symbolicznej w kontrkulturowych wspólnotach teatralnych, formułowana w nich definicja egzystencji „będzie określana przez męskie światoodczucie, formułowana męskim językiem w

granicach, jakie wyznacza męskie doświadczenie”, jak pisała autorka *Błażnic*. Kułakowska nie rezygnowała z kontrkulturowego ideału, jego sedna upatrując w etosie kontrkultury praktykowanym jednak przez kobiety – we wspólnotowych, horyzontalnych działaniach, często przyziemnych i niewidocznych, w przeciwieństwie do wielkich idei i przedstawień, którymi zasłynęli mężczy twórcy kontrkultury. Choć to, co uchodzi za kontrkulturowe, okazuje się wykluczające i normatywne, na marginesach kultywowany jest przez kobiety kontrkulturowy etos kolektywnej aktywności, kontestacji, której celem jest zmiana społeczna czy po prostu rewolucja.

Książka Kułakowskiej, odślanająca zupełnie niepodważoną patriarchalną heteronormę teatrów kontrkulturowych, przypomina mi o piosence *normalnie* hip-hopowej grupy Duldung. Raperki – Katarzyna Bratkowska, Claudia Snochowska-Gonzalez i Anna Zawadzka – opisały wspólną większości społecznej normatywność, podtrzymywaną poprzez indywidualne i zbiorowe praktyki tworzenia, nakładania na innych i egzekwowania norm. „Partia normalnych, kontra wszyscy inni” – to ogólny schemat funkcjonowania wszystkich grup społecznych w obrębie kultury dominującej:

Partia normalnych, kontra wszyscy inni,  
co lepszy tworzy normę wedle własnej linii,  
zawsze ten jeden nazywany idiotą.  
Dziecięca gra, jak „Fortuna” i „Monopol”.  
Ta jest głupia, bo ma ojca wariata,  
nie chodzi do kościoła jak cała reszta świata.  
Matka tej spod piątki podobno jest dziwką,  
nie ma męża, a samotne kobiety upadają nisko.  
Daj wreszcie spokój sobie,  
piekło robisz ludziom, rozpętując swoje fobie.  
Wszyscy w to graliśmy, ale może czas już przestać,  
by na rynku normalności zawitała wreszcie bessa.

W obietnicy zaprowadzenia lub przywrócenia normalności, składanej wyborcom przez kolejne partie i komitety, raperki zauważyły cechę stałą polskiego dyskursu publicznego, w którym niezależnie od opcji – bardziej konserwatywnej lub bardziej demokratycznej, bardziej nacjonalistycznej lub bardziej liberalnej – „normalność” bezkrytycznie przyjmowana jest jako ideał życia społecznego i wartość nadrzędna. Tymczasem to „partia normalnych” wytwarza innych jako nienormalnych, robiąc im z życia piekło – „normalność” definiuje ten, kto akurat jest silniejszy. Być może jednak właśnie dlatego, że „normalność” jest zawsze reaktywnie narzucana na

życie społeczne, zawsze na nowo wymyślana i wdrażana, możliwe jest włożenie kija w ich turbiny, „by na rynku normalności zawitała wreszcie *bessa*”. Możliwe jest zaprzestanie czynnego lub biernego udziału w reprodukowaniu norm społecznych, podważenie obowiązujących podziałów na to, co normalne, i to, co aberracyjne, zdrowe i chore, dojrzałe i dziecinne, poważne i emocjonalne. Duldung, zespół znany przede wszystkim z utworu *Manifowy*, zrealizował ten zamiar perfekcyjnie, w formułę hip-hopu wstawiając feministyczne, antyimperialistyczne, antywojenne przesłanie, i przypominając, że ta muzyka była głosem uciskanej mniejszości, a nie zadowolonych z siebie białych, cis-normatywnych koleśników nawijających o blantach i panienkach.

Sprzeciw wobec kultury dominującej oznacza sprzeciw wobec jej norm i hierarchii. Zamiast wytyczania granic i podziałów kontrkultura jako formacja nienormatywna otwiera się na poszukiwanie, błądzenie, sprawdzanie pomysłów w doświadczeniu (a nie poprzez spekulację intelektualną), eksplorowanie ślepych uliczek i odnajdywanie nieznanych przejść, wybieganie do przodu i cofanie się ku temu, co anachroniczne i zapomniane, sięganie po to, co przegrane, słabe, niedojrzałe i niepoważne. Nieco wbrew swej nazwie kontrkultura może być postrzegana jako to, co źródłowe, aktywne, swobodne i radosne, w przeciwieństwie do mechanizmów systemowej opresji, zawsze sztywnych, dzielących, ogłupiających i deprymujących. Jednak tak rozumianej kontrkultury nie da się zaprojektować na podstawie intelektualnych rozważań; powstaje ona jako integralna część kolektywnego życia, w aktach twórczości, we wspólnej pracy, w celebracji zabawy i radości, w więziach przyjaźni i miłości, w aktywizmie i codziennej walce przeciwko władzy.

Zapytana przeze mnie o takie rozumienie kontrkultury, Katarzyna Kułakowska przyznaje, że spojrzenie na kontrkulturę jako niezgodę na dominujące normy zawiera w sobie duży potencjał. Nienormatywne czy anormatywne praktyki Kułakowska dostrzega w ruchu feministycznym – chociażby w Czarnym Proteście – i ekologicznym, lecz także w mniej widowiskowych, codziennych zachowaniach, od *mindfulness* i jogi po partycypacyjne formy pracy i twórczości. Na moje zastrzeżenie, że wiele z tych praktyk sprowadzonych zostało do indywidualnego, skomercjalizowanego wyboru lajfstajlowego, odpowiada, że kolonizowanie kontrkultury przez rynek zachodzi od początku, ale nie unieważnia to samych wartości: czy to uważnego obserwowania swojego ciała i świata wokół, czy

wspólnotowego działania na rzecz zmiany społecznej. Nie potrzeba do tego ani etykiety „kontrkultura”, ani skuteczności, skoro kontrkultura dopuszcza eksperyment, który wcale nie musi się powieść. „Každy ma to, na co się nie godzi” – rzuca na koniec naszego spotkania, puentując kontrkulturowe trwanie w sprzeciwie.

### **Ryzyko zamknięcia. Niemoc**

Wizja zachodzących permanentnie, często niezauważalnych, drobnych działań, które bez kontrkulturowego zaszufadkowania w praktyce stanowią niewielkie, lecz powiązane ze sobą elementy zmiany społecznej, jest pociągająca, lecz problematyczna. Zwraca mi na to uwagę Andrzej Grzybowski, jeden z redaktorów książeczek z serii „Tikn”, wydawanej przez Bractwo Trojka, związany ze środowiskami anarchistycznymi Warszawy i Poznania. Sprowadzanie działalności kontrkulturowej do dbania o siebie, własne grupy i poczucie komfortu, Grzybowski uważa za niebezpieczne, ponieważ odciągające uwagę od rewolucji jako głównego dążenia. Mój rozmówca ma przy tym pełną świadomość, jak często tego rodzaju argumenty służą „zamiataniu pod dywan” problemów z przemocą, władzą, toksycznymi układami w imię wyższych celów. Chodzi jednak o to, by pilnując standardów horyzontalności i bezprzemocowości, nie odcinać się kwietystycznie od świata, wkładając większość sił w budowanie etycznych, równościowych relacji wewnątrz własnego kolektywu.

Po drugie, marzenie o rewolucji rozwiewa się wskutek braku silnych przynależności ideologicznych. Wspólnoty i kolektywy, pozbawione wyrazistej linii politycznej, mogą wprawdzie prowadzić wiele pożytecznych inicjatyw, nie potrafią jednak wykonać kroku dalej. Ideologiczna płynność, choć umożliwia tworzenie szerokich koalicji wokół wspólnych spraw, praktycznych aliansów, do których nie doszłoby na gruncie idei, nie pozwala ruchowi na samookreślenie. Efektem jest dryfowanie ludzi, energii, pomysłów, między poszczególnymi organizacjami, które pojawiają się i znikają w ogólnej atrofii. Jako przykład Grzybowski podaje Akademicki Komitet Protestacyjny, w którego akcjach brał udział: AKP właśnie ulega samorozwiązaniu, w kilka miesięcy po przegranej walce o zatrzymanie reformy szkolnictwa wyższego. Łatwo zgadzamy się co do klasowego podłoża tej płynności – nie przypadkiem w Warszawie dryfują niczym wolne elektrony osoby o stosunkowo wysokim pochodzeniu społecznym, które po prostu mogą do woli wędrować między

grupami i organizacjami, podczas gdy w Poznaniu ośrodkiem ruchu anarchistycznego i wszelkich działań wywrotowych stał się skłot Rozbrat, tworzony w dużej mierze przez ludzi z klasy robotniczej.

W takich okolicznościach działalność kulturalna na skłotach, w niezależnych klubach, czy na scenie muzycznej, ma niewiele wspólnego z wizją kontrkultury podważającej panujące normy. Redaktor „Tikn” przywołuje pojęcie Tymczasowej Strefy Autonomicznej Hakima Beya, który dowodził, że wobec niepowodzeń projektów rewolucyjnych skupić się należy na tworzeniu krótkotrwałych przestrzeni wolności, ze świadomością, że nic więcej ponad chwilowe wytchnienie może nie być osiągalne. Takimi TSA są imprezy, koncerty i inne wydarzenia organizowane przez środowiska wolnościowe: pozwalają na chwilę swobody, przyjemności, spełnienia, niczego na dłuższą metę nie zmieniając. Dlatego bez większych przeszkód mogą rozwijać się w obrębie kapitalizmu: w żaden sposób mu nie zagrażają. Tym koncepcja TSA – w ujęciu krytycznym – różni się od teorii wentylu bezpieczeństwa: nie ma tej groźnej energii, którą system musiałby przez wentyl wypuścić. Jeśli TSA to szczyt naszych możliwości, to wszystko stracone – zdaje się mówić Grzybowski, zwracając szczególną uwagę na underground muzyczny, gdzie popularnością cieszą się gabbery, rave, noise, gatunki o nieczytelnym przekazie politycznym i operujące hermetycznymi kodami zrozumiałymi tylko dla wąskich kręgów fanowskich. Gdy ripostuję, mówiąc, że same dźwięki, ich tempo i kombinacje są w tej muzyce przekazem politycznym, odpowiada mi, że dostrzeżenie tego wymaga wysokich kompetencji. Inaczej niż dwadzieścia, trzydzieści lat temu punk, gdzie ostry przekaz audialny szedł w parze z dosadnym komunikatem werbalnym, który nawet jeśli wypaczył idee wolnościowe, to jednocześnie stworzył na nie nowe grupy.

Porównanie dzisiejszej undergroundowej muzyki elektronicznej do zaangażowanej politycznie sceny punkowej sprzed dwóch-trzech dekad przywodzi mi na myśl słowa piosenki *5 minut* słupskiej kapeli anarcho-punkowej Guernica y Luno z 1994 roku, szczególnie fragment oddający poczucie osamotnienia, wyobcowania i bezsilności muzyków-aktywistów:

Kiedy my jesteśmy w podziemiu, buntujemy się i zamykamy we własnym kręgu,  
nikt z nami nie ma problemu, nikt nas nie musi pilnować, sami robimy to najlepiej,



a gdy przychodzi 1 maja, to w Gdańsku trzeba zrobić koncert popularnych zespołów,  
bo inaczej mało kto przyszedłby na demonstrację...

O podobnym doświadczeniu niemocy nawiązania komunikacji z innymi pisał już w 1986 roku w *Manifeście racjonalnym* Zbigniew Sajnog, przywódca i pomysłodawca głównych idei trójmiejskiej formacji tranzytoryjnej Totart, jednej z najoryginalniejszych grup twórczych kultury alternatywnej tego czasu. Choć Sajnog opisywał sytuację występów totartowców, jego diagnozę można rozumieć szerzej, w odniesieniu do wszelkich działań pozasystemowych.

Kiedy jednak odrzucimy wszystko, co nadbudowane, zostaje obraz kilku ludzi usiłujących skomunikować się z innymi – przełamać barierę informacyjną – co jest właściwie niemożliwe (oni nie są polifoniczni, bo ich głos jest właściwie jednym stojącym dźwiękiem), ale czego dokonują niejako mimo swych usiłowań, nie zauważając tego: trwają razem w wysokim potencjale energii, przez te ileś minut wyczuwają się nawzajem w silnym napięciu, bez względu na gesty i słowa.

„Trwanie w wysokim potencjale energii” wydaje się stanem powszechnym w środowiskach próbujących tworzyć nową, niezależną kulturę w oparciu o równościowe idee feminizmu, antyfaszizmu, anarchizmu i komunizmu. Jednocześnie jest ono częstą przyczyną wypalania się i odchodzenia z aktywizmu osób zmęczonych permanentnym stanem „silnego napięcia”, bez szans na przełamanie „bariery informacyjnej”. Na podobny temat rozmawiam z Kazimierzem Malinowskim, poetą i malarzem, na przełomie lat 80. i 90. jednym z liderów Lubelskiej Autonomicznej Grupy Anarchistów, od ponad dwóch dekad osiadłym na wsi pod Lubartowem, w okolicy znanej z alternatywnego osadnictwa. Właśnie życie na wsi, na marginesie struktur władzy, względnie niezależne finansowo, Malinowski podaje jako przykład praktycznego badania możliwego zakresu wolności społecznej. Zamiast poddać się rezygnacji lub przyspieszać procesy ewidentnego zmierzania systemu ku samozniszczeniu w nadziei szybszego kresu, można tworzyć na bieżąco alternatywy, stanowiące wirusy wpuszczane do obiegu – tak właśnie Malinowski postrzega alternatywne osadnictwo. Taki załączek innej konstrukcji społecznej miałby szansę rozwinąć się w momencie przesilenia. Jako drugi przykład takiego wirusa poeta podaje psychodeliki – zmieniające percepcję, rozszerzające świadomość znacznie poza to, do czego postrzegania ludzie zostali przyzwyczajeni.

Wizja luk w systemie – autonomicznych przestrzeni wolności – jest optymistyczna, zgadzamy się jednak, że kapitalizm dla własnego istnienia, dla ciągłej akumulacji potrzebuje – jakby to powiedziała Róża Luksemburg – otoczenia niekapitalistycznego, którym kiedyś były zewnętrzne kolonie, obecnie zaś są stają się te sfery i klasy w jego własnych granicach, w których nadal możliwa jest kapitalistyczna ekspansja. Oznacza to, że działalność kulturalnego niezalu nie tylko jest niegroźna i nieznacząca dla systemu – jak Tymczasowe Strefy Autonomiczne – lecz stanowi jeszcze jeden obszar utowarowienia, komercjalizacji i konsumpcjonizmu. Opór staje się swoją własną karykaturą, jak w przypadku NGO-izacji walk politycznych czy grantów na wywrotowe projekty, które w ten sposób służą udrażnianiu systemu. Na poziomie społeczeństwa dyscyplinarnego sztywność postaw, autorytaryzm osobowości, nacisk na moralną czystość, silna kontrola społeczna i poczucie winy niweczą wpisany w kontrkulturę potencjał eksperymentowania, błędzenia, wzajemnego zaufania i radości z uczestnictwa w czymś nieprzewidywalnym. Inicjatywy kontrkulturowe prowadzone są, paradoksalnie, przez podmioty będące idealnymi produktami systemu. Wiąże się to z problemem klasowym: „kontrkulturę” uprawiają często ci, których na to stać i którzy mogą w ten sposób wyszumieć się za młodu. Przy czym nieokreśloność, o której mówimy jak o wartości, nie ma nic wspólnego z rozmyciem ideologicznym; wręcz przeciwnie, Malinowski stwierdza, że ideologia jest potrzebna, by ukierunkować działanie, zwłaszcza w okresie dalekim od sytuacji rewolucyjnej, gdy czynniki zewnętrzne raczej deprymują, niż ośmielają do zaangażowania. Ideologia pozwala podtrzymać ruch, zamiast pogrążyć się niekończących się próbach pełnej analizy otaczającego świata, przetwarzaniu danych, których jest za dużo i za szybko się zmieniają, by wyciągać z nich pewne wnioski. Kontrkulturowe poznanie rzeczywistości odbywa się w działaniu, poprzez akty zmieniania jej – do tego jednak niezbędna jest busola ideologii.

Z kolei Halina Gąsiorowska, dawniej związana z kolektywem queerowo-feministycznym UFA, a obecnie z Aktywnym Domem Alternatywnym w Warszawie, interesująca się tożsamością indywidualną i zbiorową w ruchach społecznych, przychyliła się do nadrzędności kontrkulturowej treści nad niezależnością sieci dystrybucji i źródeł finansowania. Gąsiorowska zaznacza, że jeśli przekaz jest kontrkulturowy, pochodzenie środków, które zostały na niego wyłożone (od ratusza,

ministerstwa lub fundacji), nie jest tak istotne. „Nieważne, czy guzik się świeci, ale czy winda jedzie” – przypomina sobie komentarz przypadkowej współpasażerki w windzie, który w sam raz pasuje do tematu naszej rozmowy. Zaraz jednak czyni zastrzeżenie, że jeśli za sposobem pozyskania środków, na przykład z dotacji ministerialnej, idzie konieczność określonej formy obsługi i rozliczenia projektu, sprawa się komplikuje, ponieważ może wymusić to rezygnację z praktyki DIY oraz swobodnego i kolektywnego trybu pracy. Do tego zależność finansowa nieraz pociąga za sobą zależność polityczną. Gąsiorowska zastanawia się, czy można utrzymać wolnościową formę organizacji, realizując grant? Czy można korzystać z systemowego finansowania, nie uzależniając się od niego? A z drugiej strony – czy bazowanie tylko na środkach własnych kolektywu nie ogranicza go tylko do tych, których na to stać? Czy dotacje, po które nie sięgną kolektywy kontrkulturowe, nie trafią w efekcie w ręce najbardziej reakcyjnych grup?

Na pytanie, ile kontrkultury w znaczeniu sprzeciwu wobec kultury dominującej i jej norm jest w grupach i ruchach etykietowanych jako kontrkulturowe, Gąsiorowska odpowiada, że oczywiście istnieją niejawne hierarchie, charyzmatyczni liderzy, wycofywanie się nie dość pewnych siebie osób i ogólny brak czasu na długotrwałe, horyzontalne i inkluzywne sposoby podejmowania decyzji. Jednak problemy te stają się coraz częściej przedmiotem autorefleksji, a kolejne kolektywy dbają o to, by równościowe hasła nie pozostały na poziomie deklaracyjnym. Kontrkultura włącza też osoby pochodzące z różnych klas: wspólnota celów i działań umożliwia przekroczenie podziałów wyznaczanych statusami społecznymi.

## **Rozszczelnianie**

Moja rozmówczyni zgadza się ze mną, że tworzenie kontrkultury nie wymaga sztywności światopoglądowej; choć potrzebne są kolektywy, których profil ideowy jest wyrazisty i jednoznaczny, niezbędne wydaje się funkcjonowanie także grup niedefiniujących publicznie swojej ideologii, które mogą pośredniczyć między ideologicznym rdzeniem a szerszymi grupami społecznymi. Niektóre niezależne wydarzenia kulturalne, takie jak Tofu Atak, swoją otwartością służą ośmieleniu przechodniów i sąsiadów, by zapoznali z inicjatywami kontestującymi kulturę dominującą. Alternatywne obiegi idei, muzyki czy książek mogą przyciągać ludzi spoza

środowisk lewicowo-anarchistycznych, jednocześnie stanowiąc potencjalne zarzewie rewolucji.

Taka koncepcja współgra z *Kilkoma uwagami o ideikach metafizyki społecznej od strony PERMANENTNEJ REWOLUCJI (na rzecz ŚWIĘTEGO SPOKOJU)*, jednym z ważniejszych tekstów kultury alternatywnej w Polsce, napisanym w 1991 przez Janusza Waluszkę. Autor, jeden z przywódców anarchistycznego Ruchu Społeczeństwa Alternatywnego, przekonywał:

Działanie, by było skuteczne, musi być adekwatne – realne doświadczenie jest ważniejsze niż idea. (Najpiękniejszy opis nie ugasi pragnienia tak, jak kubek wody). Wszelkie odgórne założenia prowadzą do rozmijania się z rzeczywistością. Człowiek widzi to, co chce – „inne” jest niewidzialne. Agitując nie narzucaj formy, lecz przestrój paradygmat, nie mów o rewolucji (by nie zanudzić), lecz o dziwności istnienia, bo „piękno na to jest, by zachwycało do pracy, praca – by się zmartwychwstało”. Ideika to tylko motor, „żeby nam się chciało chcieć”. To, co robimy zależy jednak od interesów (stąd w razie sprzeczności ideek i życia, te pierwsze zawsze się „wypaczają”). Ważne jest co robimy, a nie w imię czego...

Z pewnością „realne doświadczenie jest ważniejsze niż idea”, choć brak przemyślanych, klarownych idei znacznie utrudnia kontrkulturową działalność w świecie, który generuje coraz to nowe konflikty ze względu na płeć, pochodzenie etniczne czy kolor skóry. Kontrkultura jako podważanie normatywnych podziałów i arbitralnie przypisywanych tożsamości, kwestionowanie antysemickich, rasistowskich, seksistowskich i homofobicznych kodów kultury dominującej, jest pod tym względem pilnie potrzebna. I wcale nie musi wiązać się z tym, co z kontrkulturą zwykle się kojarzy – niepotrzebny jej ani lewicowy *radical chic*, ani umiejscowienie na skłocie czy w niszowym klubie muzycznym. „Panowie, nie oszukujmy się, to, co robicie, to gówno, a nie awangarda”, można by powtórzyć za członkami Wspólnoty Leeżeć, którzy w 1991 roku, przy okazji kolejnej wystawy pod szyldem *Konstrukcja w procesie*, rozkleili na łódzkich ulicach plakaty o takiej właśnie treści, przypominając artystom związanym z Galerią Wschodnią, że awangarda, która powtarza własne gesty i powiela swój styl, okopując się na swoich pozycjach, nie ma w sobie już nic awangardowego. Znacznie wcześniej, w 1977 roku, Andrzej Partum przestrzegał w *Manifeście Sztuki Bezczelnej*: „każda wrażliwość jest stanem bezmyślności, bo rozumiana jako inspiracja prowadzi do kultury cytatów, czyli metod – które z kolei zawsze pragną produkcji z historii

faktów”. Kultura cytatów, prowadząca do produkcji faktów historycznych, jest zaprzeczeniem kontrkultury jako kultury żywej i twórczej, współtworzonej przez ludzi odrzucających sztywne postawy, hierarchie, uprzedzenia, stereotypy i wytarte frazesy.

W *Rozległym i amorficznym eseju o totarcie w kierunku prądu* z 1992 roku Zbigniew Sajnog pisał:

Zresztą, aby wyjaśnić sprawę do końca, nie obawiam się sprzeczności. Właśnie raczej jej brak powinien budzić niepokój, bo sygnalizuje niepełność i fragmentaryczność. Sprzeczność może niepokoić jedynie jako styl myślenia oparty na opozycyjności, przypisywaniu szczególnego znaczenia wyodrębnianiu sprzeczności, on bowiem funduje działy i granice i kreuje, zawsze ex post, chyba, że chodzi o granice państwowe, na bohaterów tych, którzy granice przekraczają, zamiast je znosić, bo znoszenie granic godzi w sam ów styl, kiedy ich przekraczanie utwierdza w jego słuszności.

Kontrkultura nie może być sprowadzona do przekraczania granic – tak częstych w galeriach sztuki, na deskach teatrów, w alternatywnych klubach i na łamach antyfaszystowskich zinów fałszywych aktów transgresji – lecz polega właśnie na granic znoszeniu. Odrzucenie historycznego „kontrkulturowego” sztafażu pozwala naszkicować wizję kontrkultury jako oporu wobec kultury dominującej, który miałby potencjał zmiany panującego paradygmatu, a nie tylko łatwej demaskacji jego najbardziej rażących przejawów à la tort ze swastyką. Kontrkultura nie może ograniczać się do wyalienowanej z dynamiki ruchów społecznych krytyki ani do pielęgnowania alternatywnych form egzystencji w niszach i na marginesach. Choć wydać się to może sprzecznością, kontrkultura nie będzie kontrkulturą, jeżeli nie będzie się opierać na dążeniu do narzucenia własnej hegemonii w miejsce przesądów, uprzedzeń, mitów i fantazmatów naturalizujących i legitymizujących nierówności, wykluczenia, segregację i kontrolę. Inaczej uśmiech pozostanie bez kota.

### **Nota o rozmowach**

Rozmowy, które przeprowadziłem do tego tekstu i których fragmenty w nim przywołuję, miały charakter swobodnych spotkań, wykraczających poza ramy metodologiczne wywiadu. Swoich rozmówców i rozmówczynie wybrałem na zasadzie również dalekiej od metodologicznego rygoru – prosząc o spotkanie znajome osoby, których zdanie na temat kontrkultury jako kontestacji kultury dominującej chciałem poznać. Wybór był więc czysto subiektywny, podyktowany chęcią dyskusji z konkretnymi osobami, których opinie mnie interesowały i które znalazły czas, by się

ze mną spotkać. Takie podejście wydaje mi się samo w sobie gestem kontrkulturowym wobec rygorów akademickich.

### Literatura

- Michael Billig, *Banalny nacjonalizm*, przeł. Maciej Sekerdej, Znak, Kraków 2008.
- Pierre Bourdieu, *Dystynkcja. Społeczna krytyka władzy sądenia*, przeł. Piotr Biłos, Scholar, Warszawa 2005.
- Pierre Bourdieu, *Męska dominacja*, przeł. Lucyna Kopciwicz, Oficyna Naukowa, Warszawa 2004.
- Tim Edensor, *Tożsamość narodowa, kultura popularna i życie codzienne*, przeł. Agata Sadza, Wyd. Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 2004.
- Max Haiven, *Crises of Imagination, Crises of Power. Capitalism, creativity and the commons*, Zed Books, London–New York 2014.
- Nick Montgomery, Carla Bergman, *Joyful Militancy. Building Resistance in Toxic Times*, AK Press, Chicago–Oakland–Edinburgh–Baltimore 2017.
- Jacques Rancière, *Estetyka jako polityka*, przeł. Julian Kutyła i Paweł Mościcki, Wyd. Krytyki Politycznej, Warszawa 2007.
- Klaus Theweleit, *Męskie fantazje*, przeł. Mateusz Falkowski, Michał Herer, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2015.

### Autor

Xawery Stańczyk – poeta, socjolog i antropolog kultury, adiunkt w Instytucie Filozofii i Socjologii PAN. Skończył studia w Instytucie Kultury Polskiej UW oraz w Instytucie Stosowanych Nauk Społecznych UW. Interesuje się historią kultury popularnej i awangardowej oraz tożsamości narodowych i ruchów społecznych w Europie Wschodniej. Napisał parę książek.

**SŁOWNIK PRZYSZŁOŚCI**  
**Forum Przyszłości Kultury 2018**  
<http://forumprzyszloscikultury.pl/>